Nr 2. Kraków, 9 Stycznia 1892. Rok II.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Pijarska Nr. 5.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Czas odnowić prenumeratę!

„*Krakus*“ wychodzi w Krakowie w każdy Piątek wieczorem, a numer każdy składa się z jednego lub półtora arkusza druku z ryciną.

Prenumeratę przyjmuje: Administracya „Krakusa“

w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej

w Krakowie (Pałac Spiski).

Prenumerata wynosi:

W Krakowie: Rocznie **Złr. 2.60.** Półrocznie **Złr. 1.30.** Kwartalnie **65 ct.** — Z przesyłką pocztową: Rocznie **Złr. 3.** Półrocznie **Złr. 1.50.** Kwartalnie **75 centów.**

Zmiana adresu!

Redakcya „Krakusa“ przeniesioną została z dniem 1go Stycznia 1892 z ulicy Szewskiej l. 15, na ulicę **Pijarską l. 5.**

Administracya „Krakusa“, dokąd należy przesyłać przekazy, pozostanie na dawnem miejscu, w **Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.** (Pałac Spiski).

Związek handlowy Kółek rolniczych.

Już pierwsze zebranie czyli wiec powiatowy Kółek rolniczych odbyty w Krakowie 30 grudnia 1890 r. powziął myśl utworzenia Spółki czyli *Związku handlowego* w Krakowie. W następnym t. j. 1891 r. kiedy w Krakowie zawiązał się Zarząd powiatowy Kółek, postanowił tenże myśl tę urzeczywistnić. W tym celu ułożył statut dla Związku i dnia 29 grudnia, po odbytych rano naradach drugiego wiecu, zaprosił po południu tegoż dnia liczne grono osób, panów, księży, mieszczan i włościan na osobne zebranie, na którem przedłożył im statut Związku. Wszyscy obecni przyjęli go jednogłośnie i zaraz zapisało się 64 osób na członków tegoż Związku.

W poprzednim numerze *Krakusa* wspominając o drugim wiecu powiatowym Kółek krakowskich, nadmieniliśmy też o tej nader ważnej uchwale, odnoszącej się do *Związku handlowego.*

Była to atoli na razie krótka tylko wzmianka, gdyż z braku miejsca i bliższego poznania rzeczy, nie mogliśmy podać dokładniejszej o niej wiadomości. Obecnie zbadaliśmy całą sprawę dokładnie i możemy śmiało powiedzieć, że wspomniany *Związek* może przynieść dla całego kraju wielkie korzyści, a w szczególności dla włościan.

Bo i o cóż tu idzie? O nic innego tylko: 1) o dopomaganie Kółkom rolniczym do zakładania sklepików, 2) o dostarczanie im potrzebnych towarów w sposób najdogodniejszy i pod warunkami najkorzystniejszymi, 3) o podniesienie handlu i przemysłu wiejskiego.

Takiej myśli musi każdy obywatel z radością przyklasnąć, gdyż zwiastuje ona krajowi lepszą przyszłość i dopomoże do wydobycia handlu z oszukańczych rąk żydowskich.

Dobrobyt włościan, oto główny cel Związku.

W tym celu, Towarzystwo to, — jak czytamy na samym początku statutu — starać się będzie : *a)* kupować i sprzedawać towary na swój rachunek, lub na rachunek trzecich osób; *b)* będzie pośredniczyło w handlu wyrobów krajowych i produktów gospodarstwa wiejskiego; *c)* będzie zakładało własne składy towarów i sklepiki chrześcijańskie po wsiach i miasteczkach; *d)* członkom zaś swoim udzielać będzie kredytu dla prowadzenia handlu. Tak opiewa paragraf trzeci statutu.

W dalszych paragrafach odnoszących się np. do f u n d u s z u Związku handlowego, czytamy, że fundusze te utworzone zostaną: 1) ze wstępnych opłat, kló-

re uiści każdy, kto chce być członkiem Związku. Taka opłata wynosi 1 zlr.; 2) Z udziałów wynoszących 25 zlr. a które ma wpłacić naraz lub ratami po 5 zlr. 3) z pożyczek lub innych źródeł. Czysty zysk rozdzielany będzie, już to na fundusz rezerwowy, już na ogólny fundusz Towarzystwa oraz na dywidendę od udziałów, co będzie zyskiem dla tych, którzy są członkami Związku i wypłacili jeden przynajmniej udział t. j. 25 zlr.

Członkiem Towarzystwa może być każdy, kto wpłaci udziałowe 25 zlr., można też przyjąć i 2—3 i więcej udziałów. Towarzystwo pragnie mieć za członków nie tylko prywatne osoby, ale przedewszystkiem Kółka rolnicze, które najwięcej mogą się przyczynić do jego utrwalenia i same na tem wiele zyskać.

Sprawami Związku czyli tej Spółki handlowej zajmować się będzie Walne zgromadzenie, które będzie się odbywało raz na rok, w pierwszej połowie roku. Mogą w niem brać udział wszyscy poszczególni członkowie, Kółka zaś przysyłać swoich delegatów czyli zastępców; Rada nadzorcza złożona z 9 członków wybieranych na trzy lata i Dyrekcya składająca się z trzech członków.

Sądzą niektórzy, że *Związek handlowy* ma się zajmować tylko powiatem krakowskim, inni, że tylko samą Galicyą bez powiatu krakowskiego, otóż oświadczamy, że zasięgnęliśmy w tym względzie wiadomości u samego Zarządu powiatowego Kółek rolnicz. w Krakowie i zaznaczamy, że Związek ten będzie rozszerzał swą działalność na całą Galicyę z powiatem krakowskim, a członkami jego mogą być osoby i Kółka całego kraju.

Wprowadzeniem w życie Związku han. zajęli się: p. Dr. Franciszek Paszkowski, przewodniczący Zarządu powiatowego Kółek i adwokat w Krakowie, oraz p. Dr. Wilhelm Dadlez, adwokat w Krakowie.

Ktoby więc pragnął zostać członkiem Związku lub lepiej tę sprawę poznać, raczy się udać do tych panów, lub do Zarządu powiatowego Kółek rolniczych w Krakowie (przy Radzie powiatowej).

Nadmieniamy jeszcze, że oprócz tych dwóch osób utworzono nadto osobny komitet tak zwany agitacyjny, który będzie się starał zyskiwać członków dla Związku.

Nie spełnilibyśmy jeszcze całej naszej powinności, gdybyśmy na tem miejscu nie wspomnieli, że największa zasługa podniesienia myśli i dalszego jej przeprowadzenia należy się p. Drowi Franciszkowi Stefczykowi, profesorowi przy szkole rolniczej w Czernichowie.

Podawszy taką ogólną wiadomość o nowym tym Związku, starać się będziemy powrócić jeszcze do tej samej sprawy w dalszych numerach naszego pisma, aby czytelnicy nasi mieli jasne o niej pojęcie i nie spoglądali na nią z nieufnością, ale owszem z tem przekonaniem, że przy gorliwem poparciu wypłynie z niej źródło pomyślności dla kraju.

Mój ojciec chrzestny.

(Zdarzenie prawdziwe.)

(Dokończenie.)

Następnej więc nocy wyprowadził mnie ten poczciwy człowiek do wioski Olchy, gdzie mieszkali państwo S. i ukrywali już dwóch nieszczęśliwych zbiegłych z pod Moskala; ja byłem trzeci. Ponieważ śledzenie żandarmów nie ustawało, zaczęliśmy myśleć o szybkiem wydostaniu się do Drezna, gdzie miałem przyjaciół i gdzie byłem zupełnie bezpieczny. Chodziło mi przecież o owe ważne papiery, które miałem przy sobie; bardzo wiele zależało na tem, aby je przez granicę przewieść i oddać we właściwe ręce, tak samo jak pieniądze będące własnością narodową.

Zacna pani S. mająca rodzinę w Polsce podjęła się przewieść przez granicę papiery i pieniądze; mogła to zrobić dość łatwo, bo często jeżdżąc do krewnych nie wzbudzała podejrzenia.

Pewnego tedy dnia wydobyłem owe ważne dokumenta i siedząc z panią S. objaśniałem ją jak trzeba je ukryć i gdzie które oddać, gdy do pokoju wbiegło zmieszane małe dzieciątko, pasące gęsi i krzykło:

— O rety! jaka kupa żołnierzy jedzie! Już są w podwórzu.

Porwaliśmy się wszyscy z miejsca. Ja zgarnąwszy papiery i pieniądze wsunąłem je do kieszeni i razem z drugimi dwoma tułaczami wyskoczyłem do ogrodu i w nogi.

Ale żołnierze na koniach wnet przebiegli ogród i ujrzeli nas w chwili, gdy dopadliśmy pierwszych krzaków.

— Widzą nas! — krzyknął jeden z uciekających, a mnie mrówki przeszły, już nie o własną skórę dobrze pokrajaną, ale o owe papiery, które miałem w kieszeni, bo nie było czasu po dawnemu ich ukryć. Gdyśmy dobiegli końca zarośli i trzeba było wyjść na pole, odchyliłem niewielki kamień, leżący pod krzakiem cierniowym, i w zagłębienie pod nim włożyłem papiery i pieniądze, następnie przykryłem kamieniem i rad niezmiernie pomknąłem za towarzyszami ku lasowi. Ale nieszczęście chciało, że pod borem orało kilku Niemców z pobliskich osad. Ci widząc, że wojsko nas goni zabiegli nam drogę od lasu, a kiedyśmy się rzu-

O książkach i gazetach.

Czytanie jest nietylko przyjemne ale i pożyteczne; bywa nietylko zabawą ale i nauką. Gdy czytamy powieść o jakimś wypadku z życia codziennego, *doznajemy przyjemności*, jakbyśmy słuchali opowiadania o ciekawych wydarzeniach, a zarazem uczymy się wiele. Powiastka dobra uszlachetnia serce, daje nam poznać świat szerszy od tego, na który patrzymy, pozwala nam poznać ludzi, których przez osobiste, własne zetknięcie poznaćbyśmy nie mogli.

Jeżeli powieść jest *historyczna*, czyli, jeżeli zawiera opowiadanie o jakimś wypadku nie z życia codziennego, domowego, rodzinnego, ale o wydarzeniu historycznem, wówczas mamy z niej ten jeszcze pożytek, że poznajemy dokładniej czasy dawniejsze. Historya tych czasów dawniejszych uczy nas, co ludzie robili, a powieść historyczna uzupełnia tę naukę, bo nam prawi, jak ludzie żyli, jakimi byli, jakie mieli zwyczaje i obyczaje, jak im się działo na świecie.

Gdy znowu czytamy historyę, czyli dzieje narodu własnego, przyjemność dla nas wielka i nauka. Przyjemność, gdy się dowiadujemy o potędze naszych królów, o chwale naszych wodzów, o zasłudze naszych przodków, a nauka dla nas jak postępować, aby cały naród był szczęśliwy, używał swobodnie najdroższych darów Boga: Wiary świętej i ojczystej mowy; jak postępować, aby nie wdzierali się w ziemię naszą krzywdziciele i podbójcy. Dzieje obcych narodów również ciekawe i pouczające.

Czy rolnik, czy rękodzielnik, czy kupiec, czy nauczyciel, albo i lekarz, adwokat, nawet najuczeńszy człowiek, każdy z książki dobędzie dla siebie przyjemność i naukę a zwłaszcza z takiej znowu, co podaje pożyteczne dla każdego zawodu wiadomości. Takich książek nie brak. A więc są, co podają wiadomości o uprawie roli, o hodowli inwentarza, o sadach, o przyrządzaniu nabiału, o pieczywie, nawet o gotowaniu; są takie, co uczą jak pielęgnować zdrowie, są jednem słowem wszelakie książki, o wszystkiem. I nie ma niczego, czegoby się człowiek z książki nie nauczył.

To też im większa gdzie oświata, tem więcej ludzie czytają, bo umieją cenić wartość książki. Czy to u Czechów, podobnych do nas z mowy, czy u Niemców, czy u Francuzów, nie ma człowieka, coby nie czytał, coby książki nie lubiał, nie miał, nie szukał jej, nie szanował. Na wsi po dziennej robocie, każdy przeczyta nim się spać położy gazetę lub kawałek książki; w miasteczku czy majster, czy terminator, gdy wstanie od warsztatu, bierze się do czytania. Służąca każda, czy kucharka, czy inna, skoro ukończy robotę, wieczorem, zanim się pomodli i spać położy, przeczyta gazetę lub książkę. Fiaker, czyli woźnica, co stoi z powozikiem na mieście, gotów do najęcia, siedzi na koźle i czyta gazetę lub książkę, a gdy go kto najmie, chowa pa-

---

cili w bok w żwirówce, nadjechali w skok ułani i wszystkich trzech schwycili.

Tego samego dnia wieczorem siedzieliśmy na wieży ratusza w powiatowem mieście K. półtory mili odległym od Stareńki, a cała okolica wiedziała o naszem nieszczęściu. Tak długo mieliśmy zostać w K. aż przyjdzie rozkaz gdzie nas dalej wysłać. Władze pruskie nie wiedziały z pewnością czy mają tego, kogo szukały, bo przebywałem w Poznańskiem pod przybranem nazwiskiem.

Noc minęła spokojnie, ale spać nie mogłem, dziękowałem Bogu, że mi pozwolił ukryć papiery i błagałem znowu Najśw. Panienkę, aby mię wybawiła z więzienia. Gdy nas wprowadzono na ratusz widziałem, że murarze robili coś koło niego. Na drugi dzień blisko południa wyglądając oknem, zaopatrzonem w grubą kratę, spostrzegłem, że jeden z murarzy coś mi bardzo znajomy i wpatruje się w nasze okienko.

Zbliżyłem się zupełnie do kraty i któż opisze moje zdumienie, gdy w murarzu przybranym w długi skurzany fartuch poznałem poczciwego Kaspra Kolendę, a dalej zobaczyłem, że pisze kredą po fartuchu:

— „Co panowie chcecie, abym dla was zrobił? Wszystko zrobię i dopomogę wam do ucieczki, bo pewno czeka was wydanie Moskalowi“.

Powiedziałem moim towarzyszom com wyczytał na fartuchu murarza i wnet uradziliśmy jak się ratować.

W kwandrans później napisałem na kawałku starej gazety ołówkiem, który jeden z nas podczas rewizyi ocalił:

„Podaj nam mocne dłuto i długi gruby sznur“. W papierek zawinąłem kawałek muru wyrwanego ze ściany i wyrzuciłem oknem na dach ratusza znajdujący się pod wieżą. Kolenda chwycił papier, a gdy słońce zaszło i murarze schodzili z rusztowania jeden z nich w długim fartuchu poszedł po deskę, opartą około naszego okna i zabierając ją wsunął dłuto i sznur pomiędzy kraty, poczem opuścił rusztowanie za drugimi.

Skoro zmrok zupełny zapadł wzięliśmy się do wyważania kraty, gdy się jeden z nas zmęczył chwytał dłuto drugi i tak długo pracowaliśmy aż krata nie została wysuniętą.

Pierwsza wybiła właśnie, gdy ja ostatni wyszedłszy oknem spuściłem się po sznurze. Ale niestety ledwo dotknąłem nogami ziemi, ujrzałem tuż przed sobą stróża, który mię schwycił za piersi.

piery do torby i jedzie, a skoro objechał i wrócił na miejsce, znowu czyta. To też to w tych krajach jest oświata wielka, a z nią i bogactwo, bo im więcej oświaty, tem więcej dobrego bytu. O tem to już łatwo przekonać się każdemu, że im człowiek więcej umie, tem łacniej sobie poradzi w każdej sprawie, tem łacniej zarobi i z mienia swego więcej skorzysta.

Czytanie książek i gazet jest wielką przyjemością i pożyteczną nauką dla każdego, ale w doborze książek i gazet ostrożnym, rozważnym być trzeba.

Nie ma dla człowieka nic potrzebniejszego nad chleb; bez chleba nikt się nie obejdzie, każdy go mieć musi; ale chleb musi być z dobrej mąki, dobrze wypieczony. Jeżeli spleśniały lub zaprawiony potażem, to się człowiek nim struje, albo z niego rozchoruje. Dobry chleb wychodzi na zdrowie, ze złego choroba. Nikomu jeszcze na myśl nie wpadło powiedzieć sobie, ponieważ chleb zły bywa, to go jadać nie trzeba, tylko każdy powiada: staraj się, byś jadł chleb dobry. Zdarza się często, że nieuczciwe kobiety dolewają wody do mleka, które w mieście sprzedają, że śmietanę zaprawiają mąką, że fałszują nawet i masło, a przecież nikt nie powie, aby nie pić mleka, nie używać śmietany i masła, tylko każdy stara się kupować to wszystko od ludzi uczciwych, którym ufać można, iż dobry nabiał sprzedają.

Tak oto i z książką i gazetą. Aby z nich była przyjemność i nauka, aby wyszły na zdrowie sercu i duszy, potrzeba, aby były dobre, aby rzetelną prawdę podawały, aby pochodziły od prawdziwie mądrych, prawdziwie uczonych ludzi. Jak zdarza się, że jakiś niedouczony w rzemiośle szewczyk, na fuszerkę robi buty i sprzedaje na jarmarku, tak się też zdarza, że jakiś student niedouczony a pyszałkowaty, bierze się do pisania i radby nauczał drugich. Jak owe buty do niczego, tak i owa książka. Nim kupisz buty, dowiadujesz się jaki majster je robił; nim przeczytasz książkę, dowiedz się kto ją pisał. A dowiedzieć się nie trudno czy na plebanii, czy we dworze, czy u sąsiada, co już wiele czytywał, czy wreszcie w mieście w uczciwej księgarni.

Jak między gospodarzami znajdzie się nieuczciwy, co chore bydlę sprzedaćby rad na jarmarku za zdrowe, jak między rzemieślnikami będzie taki, co lada jaką robotę sprzedaje za dobrą, jak oto nieraz i nierzetelny kupiec zwietrzałe i zleżałe towary pozbywa jakby jeszcze dobre, tak między tymi, co wydają książki i gazety nie braknie złego, albo obłudnego człowieka. Zły z umysłu będzie falsze pisał, aby bałamucił czytających i przyciągał ku temu, co mu na rękę, a głupi przez brak rozumu nabaje niedorzeczności.

Dobra książka i uczciwa gazeta jest przyjacielem człowieka, zła książka i złośliwa, kłótliwa gazeta, stają się trucizną. Więc trzeba dobrze na to zważać, co się czyta, od kogo się książkę bierze lub kupuje. Przedewszystkiem nie brać i nie kupować książek od nie-

---

— Puszczaj! bo inaczej to żelazo utopię ci w piersiach — szepnąłem i pogroziłem stróżowi dłutem, które miałem w ręku.

Nie myślałem przecież wcale zabijać biedaka, lecz on zląkł się, bo puścił mię natychmiast i cofnął się o kilka kroków, ale w tej samej chwili zaczął na cały głos wołać o pomoc.

Ze wszystkich stron zlatywali się żołnierze stojący na warcie, że jednak noc była bez księżyca zdołałem się ukryć w bocznej wąskiej uliczce, a kiedy powstały gwar i bieganie, uciekałem co sił za miasto, żwirówką ku Stareńce.

Ubiegłem zaledwie kilkaset kroków, gdy usłyszałem za sobą tentent kilku koni, ukryłem się więc w żyto rosnące nad drogą i dopiero gdy ulani wysłani za mną w pogoń minęli mię, poszedłem za nimi, bo i oni biegli w stronę Stareńki.

Ćwierć mili przed nią opuściły mię siły zupełnie nie mogłem już iść dalej. Zapukałem tedy do plebanii w W. gdzie miałem znajomego proboszcza.

Zacny kapłan zdziwił się na mój widok ogromnie bo on już słyszał o mojem uwięzieniu.

Pokrzepiwszy się szklanką herbaty i natarłszy sobie nogi spirytusem, puściłem się przez pole do Stareńki podczas gdy ulani wracali ztamtąd drogą nikogo nie schwyciwszy, bo moi dwaj towarzysze uciekli w inną stronę.

Podewsią czekał na mnie Kolenda i powiódł zaraz do boru graniczącego z pańskim ogrodem. Poczciwy ten mój opiekun zrobił mi budę w lesie, urządziwszy w niej miękkie posłanie z wonnego siana i zachęcając mię do spoczynku, sam przyrzekł czuwać nademną.

Padłem na posłanie jak kosą podcięty, oczy do snu się kleiły, bo dwie noce nie zmrużyłem oka, ale ciekawość przemogła znurzenie, więc spytałem się Kolendy:

— Powiedz mi mój kochany przyjacielu, zkąd się wziąłeś tam w K. i czy pomyślałeś na jakie narażasz się dla mnie niebezpieczeństwo?

— A widzi wielmożny pan — odparł z filuternym uśmiechem, rad, że mu się udało Niemców wywieść w pole, — przy murarzach w K. pracuje mój syn, skorom się dowiedział, że pan tam siedzi, poszedłem do syna i kazałem mu prosić majstra, żeby mnie pozwolił pracować jeden dzień za syna, który w interesie musi się udać do stryja; majster się zgodził, a ja wysłałem mego chłopaka do brata i poleci-

znanych ludzi; potem patrzyć na to kto ją napisal i czy to pisarz znany jest jako uczony i uczciwy człowiek.

Ostrożnie więc z książkami i gazetami, tak jak z chlebem, aby nie było w niej czego złego, jak w chlebie zakalec. A są tacy, coby radzi odebrać człowiekowi Wiarę, oświatę i przeciw niej piszą; są tacy, coby radzi wszystkich zakłócić, aby w mętnej wodzie ryby łowić. Zdarza się, że udają przyjaciół ludu wiejskiego i pochlebiają mu, aby potem z niego korzystać, jak ów arendarz, co pochlebia pijakowi, aby mu zabrać ostatnią koszulę za wódkę. *Cz. P.*

O gospodarności w obrębie gminy

opowiedział

Kazimierz Langie.

(Ciąg dalszy).

XXVII. Ubezpieczenie od pożaru i gradu.

Było już z dawien dawna obyczajem między chrześcijańskiemi ludami, że jak kogo we wsi lub w mieście ręka Boża dotknęła: dom zgorzał, grad zboże zbił, albo ojciec rodziny zmarł i sieroty w biedzie zostawił — to drudzy naokoło składali się po odrobinie i pomagali nieszczęśliwej rodzinie obronić się od nędzy.

Tak bywało dawniej, póki ludzie lepsi jacyś byli — naukę Chrystusa Pana o miłości bliźniego głębiej w sercach nosili — a i na to pamiętali, że co sąsiada dziś spotkało, to ciebie i mnie jutro spotkać może: więc pomoc nieśli w nieszczęściu cudzem, żeby znowu drudzy kiedyś pomagali w nieszczęściu naszem.

Ale nastały czasy inne, ludzie nibyto mądrzeć zaczęli, a wraz z tą mądrością i kochać też zaczęli siebie samych więcej niż bliźniego, czasem więcej niż Pana Boga samego! I jaki taki, widząc nieszczęście u brata, zamiast nieść mu chrześcijańską pomoc, sprzedał czemprędzej zboże swoje, by pokazać, że już nie ma — pieniądze zakopał, żeby udać, że nie ma także — bo mu żal było uczynić choćby drobną ofiarę.

Skoro tym sposobem dużo ludzisków od obyczaju starego wyłamywać się zaczęło, składki poczciwych nie wystarczały już na pokrycie szkody pogorzelca: więc niejeden i lat kilka tułał się po komornem, nie mając za co odbudować chaty zgorzałej, a gdy grad zniszczył plony, — głodem marł z rodziną, nie mając za co kupić sobie zboża, w miejsce zniszczonego i tak zmarniała rodzina niejedna do szczętu.

Tych znowu skąpców, co to pomocy biednemu dać nie chcieli, zapamiętywali sobie już nawet i miłosierni ludzie... i gdy na którego z nich znowu nieszczęście padło, powiadali mu: Nie ratowałeś ty nigdy drugich w potrzebie, to i sam nie masz prawa żądać poratowania. I taki człowiek zniszczał już od razu z kretesem.

łem mu, aby sobie obejrzał nowy piec, jaki sobie stryj kazał wystawić, bo ja taki sam chciałbym mieć postawiony, gdy za parę tygodni syn do domu wróci. Wszystko się stało jak sobie ułożyłem. No i dzięki Bogu pan wolny.

— Niech ci Bóg nagrodzi — rzekłem spracowane ściskając ręce tego poczciwego człowieka — ale gdyby się wydało, żeś mi ułatwił ucieczkę byłbyś ciężko karany.

Oblicze Kolendy zasępiło się, spojrzał na mnie z wyrzutem a po chwili milczenia mówił:

— Bo to panu się zdaje, że my chłopi nie kochamy tak samo jak wy matki Ojczyzny; więc gdy który z nas choć palcem ruszy dla niej, już się dziwicie. Kiedym panu pomógł uciec, czyniłem to nietylko dla pana, ale także dla tego, że kocham moją rodzinną ziemię. Gdyby pana oddano Moskalom, poczęliby znowu męczyć pana i pytać o innych, a nużby pan nie wytrzymał katuszy i powiedział coś takiego, coby Ojczyźnie szkodziło? To pan życie swoje ważył, a ja miałbym się obawiać cierpieć trochę prześladowania dla świętej polskiej ziemi.

— Nie chciałem cię obrazić Kolendo — zawołałem wzruszony — podaj mi twoją rękę i niech będzie między nami zgoda. Wiem, żeś dobry Polak i codzień szanuję cię więcej.

— Gdzieby ja zaś miał mieć żal do pana! Ale teraz czas, aby pan wypoczął, ja będę pilnował, żeby tu nikt nie przeszkodził panu.

Tego samego dnia wieczorem przyjechali państwo S. do Stareńki. Pan Antoni zaprosił mnie i Kolendę na herbatę, po której toczyła się narada co dalej mam z sobą zrobić, bo zostać we wsi było niebezpiecznie. Kolenda radził, abym z panem S. pojechał do Wrocławia przebrany za służącego; wszyscy uznali słuszność tej rady i postanowiliśmy wyjechać nie zwłócząc, wpierw jednak trzeba było odszukać moich papierów. Kolenda podjął się tego i ruszył na całą noc.

Na drugi dzień rano leżałem jeszcze w łóżku, gdy drzwi się otwarły i Kolenda wszedł do pokoju.

— I cóż? — zapytałem ujrzawszy go.

— Są panie! tak dobrze były schowane, żem ich kilka godzin w nocy i z rana szukał. Niech pan przeliczy czy są wszystkie. Ale Niemcy coś muszą miarkować; byli na polu, gdym po krzakach chodził, a kiedym się miał ku domowi oni za mną i pytali czego ja w zaroślach szukam.

— Cóżeś im odpowiedział?

Poznali więc ludzie, że tak źle jest: że zamiast przybywać, to ubywa z każdym rokiem bogactwa w narodzie, a natomiast przybywa rodzin bez dachu i chleba, które gminom ciężarem się stają, — więc jęli obmyślać środki, jakby temu zaradzić.

Więc rada w radę, zeszli się starsi po gminach i zgodzili się na to, że potrzeba nazad stary obyczaj przywrócić: żeby ci wszyscy, co klęski nie doznali, złożyli się na tego, który popadł w nieszczęście. Ale żeby nikt potem nie uchylał się od dania przyrzeczonej pogorzelcom pomocy, postanowiono, by każdy, kto chce być sam kiedy poratowany, złożył *naprzód* zaliczkę, jaka na niego przypada. Kto naprzód swojej składki nie złoży, ten niema prawa żądać poratowania.

Tak z dawnego obyczaju miłosierdzia chrześcijańskiego, w nowszych czasach powstały małe wzajemne Towarzystwa ubezpieczeń od szkód. Ludzie wybrali sobie zarząd, coby zawiadywał wspólnym uskładanym majątkiem; wybrali też z pomiędzy siebie najzaufańszych, coby rachunki zarządu przeglądali i spór jakby się wydarzył, rozsądzili; wybrali też i znawców, coby szkodę taksowali, by nikt nie mógł z krzywdą dla innych korzystać, ani żądać wynagrodzenia większego, niż istotna szkoda, którą poniósł.

I długi czas znowu dobrze ludziom z tem było. Ale cóż? Towarzystwa takie małe zakładali ludzie, to po miastach, to po parafiach, ci co się dobrze z sobą znali i blisko siebie mieszkali. Dróg dobrych nie było jak dziś, ani telegrafu, ani kolei, ani poczty porządnej; z dalszymi ludźmi porozumieć się było nielatwo i dlatego każde Towarzystwo takie *niewielu* miało członków. Póki zdarzyła się jedna jaka pogorzel na rok i niewiele budynków zniszczyła, to jakoś to tam wystarczało jeszcze, a choćby brakło co składek, to dorzucili wszyscy po kilka centów i chałupę się odbudowało... Ale jak w czasie ognia wiatr powionął, a pół wsi i miasteczka od razu w popiół obrócił — albo jak chmura gradowa straszna jednym zamachem plony we wsiach kilkunastu zniszczyła — wtedy nie było już ratunku, gdyż wszyscy prawie, którzy należeli do takiego Towarzystwa, byli tak zniszczeni, że drugich ratować nie mogli.

Więc poznali ludzie z doświadczeń takich smutnych, że wieś i miasto choćby duże, i parafia i powiat nawet cały, to wszystko za mały jest obszar dla takiego Towarzystwa ubezpieczeń od szkód. Żeby Towarzystwo takie nie bało się bankructwa i mogło nawet wielkie klęski przetrzymać, potrzeba mu bardzo dużej przestrzeni i bardzo wielkiej liczby członków. Innych też Towarzystw ubezpieczeń już teraz nie zakładają, tylko takie, co kraj cały albo kilka krajów ogarniają; gdyż wszystkie małe Towarzystwa powiatowe i miejskie najczęściej za pierwszem większem nieszczęściem bankrutują i członkom swoim szkód nie wynagradzają.

Z tego kłopotu małych wzajemnych Towarzystw skorzystali w różnych krajach ludzie rozumni i bogaci,

---

— Pogroziłem im kijem; czy ja to panie lada szołdrze będę się sprawiał! Ale jeden mnie zna, boję się, żeby zaś nie domyślili się czego, a nie przyszli tu żołnierze na zwiady.

Nie mylił się w swoich przewidywaniach Kolenda.

Na drugi dzień po owej nocnej wyprawie, zaprowadził mnie do Olchy na zgodę jako forysia, przebrawszy mię wpierw w swoje rzeczy, kazawszy mi wąsy i brodę zgolić.

Wszystko to było już ułożone; papiery i pieniądze miała pani S. przewieść, a ja z jej mężem wyruszyć do Wrocławia. Aż tu w wilią dnia, który przeznaczyliśmy na wyjazd przyjechał pan Antoni ze smutną wiadomością, że u Kolendy zrobiła policya rewizyę, a jego samego uwięziono. Zmartwiłem się bardzo i nie miałem ochoty wyjeżdżać, ale mi odpowiedziano, że pobytem moim nic memu przyjacielowi nie pomogę, a siebie zgubię.

— Z bolem serca odjechałem więc i szczęśliwie stanąłem w Dreźnie dokąd donosił mi pan Antoni o losie Kolendy. Dowiedziałem się więc, że posądzono go iż dopomógł mnie i moim towarzyszom do ucieczki, że miał ze mną stosunki, że wiedział gdzie jestem itd. Dwa miesiące więziono i dręczono biedaka aż nakoniec nie mogąc mu nic udowodnić, puszczono go na wolność.

Zarwał jednak biedak na zdrowiu we więzieniu i ciągle potem chorował. Pan Antoni zajął się nim jak bratem, ale ja nie miałem spokoju i prosiłem Boga, aby mi pozwolił wywdzięczyć się temu szlachetnemu człowiekowi.

I rzeczywiście prośby moje nie były nadaremne. Po kilku latach pobytu za granicą ogłoszono amnestyą pozwalającą wygnańcom wrócić do kraju. Wróciłem i ja na Litwę.

Pierwszą moją czynnością było wezwanie Kolendy do siebie, pragnąłem zapewnić przyszłość jemu i jego całej rodzinie. Przybył z żoną i dziećmi, a rodzina moja przyjęła ich tak jak krewnych.

Lecz niestety nie długo cieszyłem się jego obecnością w moim domu. Biedny Kolenda mimo wygód i starań nie domagał ciągle, aż raz zaziębiwszy się na polowaniu zachorował ciężko i rozstał się z nami na zawsze.

Pocieszałem się tylko tem i dotąd pocieszam, że dzieci jego zostały na zawsze moimi najlepszymi przyjaciółmi. Wszystkie dzięki Bogu, a nie bez mojej pomocy, wyszli na tęgich i porządnych ludzi, każdy ma

i umyślili wyzyskać sprawę ubezpieczeń dla swojej korzyści. Obliczyli na podstawie doświadczeń dawnych, ile średnio budynków rocznie w jakim kraju się spali, i ile w przecięciu do roku wartość tych szkód wynosi. I rozliczyli, że jak bardzo wielu ludzi zniesie im naprzód składkę, a oni z tych pieniędzy pogorzelcom szkody wypłacą, to zostanie im jeszcze pieniędzy wiele, które oni do kieszeni swojej jako zysk z przedsiębiorstwa zabiorą. Tak potworzyły się w wielu krajach wielkie Towarzystwa *akcyjne*.

Spekulanci ci poskładali więc ogromne swoje pieniądze do kasy, niby na pewność, że choćby jak wielkie szkody się wydarzyły, to oni zapłacić je potrafią. Ale premie od ubezpieczenia kazali ludziom płacić sobie tak duże, że prawie nigdy nie potrzebowali ruszyć tamtych swoich własnych pieniędzy złożonych do kasy, — a przeciwnie, co roku dokładali jeszcze do nich nowe pieniądze, osiągnięte ztąd, że więcej składkami czyli premiami zebrali, niż wypłacali szkód.

Towarzystwa akcyjne mają wprawdzie zadanie takie same, jak Towarzystwa na wzajemności oparte, żeby ratować tych, co w nieszczęście popadną. Ale zawsze to piękniej i bardziej po chrześcijańsku ratować bliźnich bez widoku na zyski, aniżeli za ten ratunek kazać sobie drogo płacić i na nieszczęściu ludzkiem zysków dla siebie szukać. To też to po większej części nie chrześcijańscy ludzie zakładali one Towarzystwa na zysk, lecz bankierzy bogaci a obcy nam mową i wiarą, w Tryeście i Wiedniu.

A ponieważ u nas w kraju Towarzystwa takiego nie było, więc oni zdaleka nasłali do nas swoich agentów. I naród nasz ubezpieczał się u nich od ognia, gradu i na życie, i płacił za to wiele kazali.

Więc mądrzejszym ludziom u nas żal się zrobiło, skoro przypatrzyli się przez wiele lat, jakie to wielkie pieniądze wychodzą z biednego kraju naszego, by bogacić obcych bankierów.

Otóż razu pewnego — a jest teraz już 30 lat temu zjechało się w Krakowie wielu ludzi dobrze życzących narodowi naszemu i jęli radzić: czybyśmy też nie mogli bez tych zagranicznych bankierów się obejść, a zyski, jakie oni co roku z nas ciągną, między nasz naród rozdzielić. Toć o tyle taniej kosztowałoby każdego z nas ubezpieczenie. Wszak ci to gromada, to wielki człowiek — mówili. — Choć każdy z nas niewiele ma, to przecież jak wszyscy złożymy się po troszeczku, to urosną z tego takie sumy duże, albo i większe jak te, co oni w Wiedniu lub w Tryeście niby na pewność w kasach złożyli... Więc wróćmy znowu do starego obyczaju *Chrześcijańskiej wzajemnej pomocy,* ale ogarnijmy tą pomocą wzajemną cały, jak długi i szeroki nasz kraj.

Żeby było czem ratować tych, co klęski doznali, składajmy *naprzód* każdy według swojej możności pe-

---

zapewniony sposób do życia i każdemu w swoim zawodzie powodzi się szczęśliwie.

— A cóż się też z Kolendziną stało, proszę pana? — spytała moja żona.

— Umarła biedaczka jeszcze przed mężem i smutno pomyśleć, że tęsknota zabiła kobiecinę. Z początku bardzo się jej podobało na Litwie, ale później posmutniała jakoś i zaczęła chorować, na nic się przecież nie skarżyła i nie wspominała Stareńki. Dopiero na śmiertelnem łożu przyznała mi się, że bez swoich stron żyć nie może. Pytałem się czemu mi wpierw tego nie powiedziała, byłbym ją w Poznańskie na niejaki czas do krewnych wysłał, ale ona potrząsnęła głową i powiedziała:

— Jakże mi tu było dzieci zostawiać? A zabrać ze sobą... nie chciałam im przeszkadzać w nauce, nie chciałam im psuć doli. Mnie już ze świata, a im do życia.... matka wielmożny panie i umrzeć dla dobra dzieci potrafi.

— Taka to już była zacna cała rodzina Kolendy — mówił dalej siwowłosy pan — zawsze ja lubiłem lud wiejski, ale od czasu gdym poznał Kolendę, szanuję chłopów i kocham jak braci.

Milczenie jakie po tych słowach nastało przerwała moja kobieta mówiąc:

— To oto tak daleko w świecie znają twego chrzestnego, mężu, a ty nic nie wiedziałeś jaki to dzielny i dobry człowiek trzymał cię do Chrztu św.

— No, ale teraz z łaski wielmożnego pana dowiedziałem się, że mój chrzestny już nie żyje, niechże mu Bóg wiekuistą światłością i szczęściem nagrodzi jego cnoty.

— Amen — zawołali wszyscy zebrani a pan dodał: ty zaś poczciwy synu chrzestny mego przyjaciela, naśladuj cnoty jego i opowiadając historyę Kolendy dzieciom twoim ucz je jak kochać Ojczyznę i jak się poświęcać za braci.

Ucałowaliśmy oboje z żoną ręce starego pana, bo to i od niego uczyć się może niejeden; mniejsza już o to czy pan czy chłop i życząc wszystkim dobrej nocy udaliśmy się na spoczynek, bo dawno już było po północy.

Gdy na drugi dzień po dobrym obiedzie mieliśmy siadać na bryczkę a pani żonie mej dawała śliczne podarunki dla niej i dla dzieci, stary pan wziął mnie na stronę i spytał czy mam jaką pamiątkę po moim ojcu chrzestnym.

wną zaliczkę. W miarę tego, ile zaliczki kto dał, ma też prawo żądać zapłaty, gdy sam szkodę poniesie.

Jeżeliby w którym roku nieszczęść było tak wiele, że zaliczka zebrana nie wystarczyłaby na opłacenie szkód — to wszyscy dorzucimy po kilka centów jeszcze. A jeżeli pożarów będzie mało i po opłaceniu szkód zostanie na końcu roku pieniędzy co w zysku, to się tym zyskiem podzielimy wszyscy, czyli odbierzemy jako *zwrot* część tego, cośmy opłacili. A tak te pieniądze nasze powrócą tam, zkąd wyszły i zostaną się w kraju naszym, a nie będą wychodziły z kraju na korzyść cudzoziemców.

Mowa taka podobała się wszystkim ludziom mądrzejszym w kraju całym. Mnóstwo takich, co nie ubezpieczali dotąd swojego mienia, zapisało się od razu na członków Towarzystwa w Krakowie i prawie wszyscy ci, co ubezpieczali się w Tryeście lub Wiedniu, jak tylko tam się im umowa skończyła, przeszli także do instytucyi krajowej.

Tak powstało w roku 1861 wielkie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, co św. Floryana za patrona sobie obrało.

Więc znowu zjechali się wszyscy, co tego Towarzystwa członkami być chcieli: ułożyli sobie statuta, których główną zasadą było: *że każdy, czy to bogaty, czy ubogi, będzie miał równe prawa i równe obowiązki w tem Towarzystwie,* że wszyscy, co się w tem Towarzystwie ubezpieczają, są zarazem i właścicielami majątku wspólnego, jaki to Towarzystwo mieć będzie i *że nikomu z ubezpieczeń nie wolno zysków dla siebie ciągnąć.* Wybrali z pomiędzy siebie Dyrekcyę do zarządzania funduszami wspólnymi i Radę nadzorczą do opiekowania się Towarzystwem. A w końcu uchwalili, żeby co roku odkładać coś na fundusz rezerwowy w tym celu: żeby w razie większego w którym roku nieszczęścia, nie potrzeba było żądać od członków dopłaty.

I patrzmyż, jaka to ogromna potęga leży w takiem zgodnem zespoleniu drobnych pojedynczych sił.

Ten fundusz rezerwowy z drobniutkich datków urósł już dzisiaj do sumy ogromnej, bo *blisko trzech milionów reńskich.* A więc choćby i największe nieszczęście na członków Towarzystwa padło, to ono bez żadnego dopłacania da sobie radę — tak, jak dało sobie radę niedawno, gdy całe miasto wielkie Stryj wygorzało prawie do szczętu.

W ciągu 30-letniego istnienia swojego wypłaciło Towarzystwo krakowskie Czonkom swoim za szkody przez pożar zrządzone blisko 30 milionów reńskich, a za szkody gradowe przeszło 9 milionów, czyli razem *39 milionów reńskich.*

Oprócz tego wypłaciło wszystkim swoim Członkom zwroty czyli rozdziały zysków, które razem przeszło *8 i pół miliona reńskich* wyniosły.

Gdybyśmy nie ubezpieczali nigdzie, to ze 20 tysięcy rodzin żebraków byłoby przybyło krajowi. A gdyby wzajemnego Towarzystwa krakowskiego nie było —

— Nic nie mam wielmożny panie — odpowiedziałem — ale to prawie nie potrzebne, bo Kolendy nie zapomnę póki życia.

— Ja jednak — mówił pan — pragnę, abyś ty i twoi synowie mieli coś coby wam zawsze przypominało tego szlachetnego człowieka. Mam oto tu pierścień po Kolendzie, który mu jeszcze kiedyś z Drezna posłałem do Starenki; po śmierci przyjaciela zatrzymałem sobie pierścionek na pamiątkę, ale dziś kiedy poznałem chrześniaka Kolendy, niechże ten pierścień chrzestnego należy do ciebie; — tu poczciwe panisko włożył mi na palec duży, śliczny pierścionek złoty z wielkim czerwonym kamieniem i tak kończył: — A gdy synowie twoi dorosną i będziesz i ich wyposażał, pierścień zapisz temu, który cnotami swemi najbardziej będzie podobny do Kolendy.

Dobroć starego pana wzruszyła mię tak, że nie wiedziałem jak mu dziękować; żona także była bardzo ucieszona i aż się rozpłakała nieboga. Żegnaliśmy się tak z państwem jakby z najbliższymi krewnymi aż starszy pan przeżegnawszy nas i zawoławszy:

— Jedźcie z Bogiem, niech łaska Jego będzie z wami — wszedł prędko do dworu i jakby łzy palcami strącał; my wsiedli na bryczkę i ruszyli ku pruskiej granicy.

W domu zastaliśmy wszystko dobrze; dzieci i czeladka zdrowa, aż skakały z radości ciesząc się z naszego powrotu i pięknych podarków, któreśmy od siebie z Częstochowy i od państwa z pod Kalisza dla wszystkich przywieźli.

Ja mój pierścień schowałem do kufra i tylko na wielkie uroczystości kładę na palec. Ile razy moi czterej synowie zobaczą go u mnie obstąpią mię wokoło i oczu oderwać nie mogą od błyszczącego złota i świecących kamieni: a ja wtedy mówię im zawsze:

— Który z was będzie najcnotliwszy, który najwięcej będzie kochał Ojczyznę i swoich współbraci, ten odziedziczy po mnie pierścionek.

Chłopcy spoglądają po sobie i wpatrują się we mnie ale milczą, małe dziś to wszystko jeszcze więc nie mogą umiarkować, który wda się w mego ojca chrzestnego i złoty pierścionek posiędzie.

St: G.

a my musieli przez te 30 lat ubezpieczać się w Tryeście lub Wiedniu, to 8 milionów złr., które odebrali Członkowie nasi tytułem zwrotów, a i te 3 miliony złr., które mamy dziś w funduszu rezerwowym, jako wspólną nas wszystkich własność — czyli razem te całe *jedenaście milionów reńskich* byliby zabrali obcy ludzie jako swój zysk, czyli jako zapłatę za wyświadczone nam usługi. Dziś my bez tych usług obchodzimy się, sami sobie służymy, to też i te zyski wielkie zostają różnica w tem, że na końcu każdego roku Towarzystwo krakowskie zwraca ubezpieczonym ile zostanie — po 20, 25 a czasem i 30 centów od każdego zapłaconego reńskiego — a tamte nie zwracają nigdy nic.

Więc nie wierzcie, choćby wam kto w uszy kładł, że którekolwiek Towarzystwo tańszem lub lepszem jest niż krakowskie — bo przecież gdyby Niemiec albo Włoch albo Czech zysków dla siebie nie widział, toby się nie pchał do naszego kraju. A jak tylko na zysk dybie i



Na Groblach w Krakowie. (Objaśnienie patrz: Rozmaitości).

w naszych kieszeniach.

Pomyślmyż jeno, czy nie szkoda to było tych zysków takich wielkich nam tracić, a cudzoziemcom dać je na sobie zarabiać? Więc i dziś jeśli od ognia czy od gradu ubezpieczyć mienie wasze chcecie, czy też ubezpieczyć pragniecie jakiś kapitał dla swoich dzieci, to szukając w mieście agencyi, baczcie dobrze, czy jest święty Floryan na ścianie i czy jest napis, *że to krakowska Agencya.* — Bo i tamte Towarzystwa akcyjne mają także jeszcze swoje agencye w naszym kraju i starają się o to, żeby ludzi naszych do siebie przywabić. Opłatę za ubezpieczenie pobierają one teraz już prawie taką samą jak Towarzystwo krakowskie — ale z nas go ciągnąć chce, to już nie może być tańszem od naszego Towarzystwa własnego, które żadnych zysków dla siebie nie potrzebuje.

W krakowskiem Towarzystwie wzajemnem budynki mogą być od ognia ubezpieczone tylko na cały rok, a ruchomości, jako to: zboże bydło, odzież, sprzęty gospodarskie i domowe, można ubezpieczać na czas krótszy. Ale taniej wypada, jeżeli i te od razu na cały rok się zapisze.

Wartość przedmiotów sumiennie podać powinien właściciel. Bo jeżeli poda większą wartość do ubezpieczenia, niż rzeczywiście jest, to niepotrzebnie płacić będzie większą za to wkładkę — a w razie pogorzeli za-

płaci mu Towarzystwo tylko tyle, ile był wart przedmiot zgorzały w chwili szkody. Jeżeli znowu przeciwnie poda do ubezpieczenia wartość za małą, to straci na tem także — bo za to, że oszczędzi kilka centów na składce rocznej, stracić może kilkadziesiąt reńskich na wynagrodzeniu szkody.

Z prawdą zgodnie też podać powinien właściciel opis przedmiotów, które chce zabezpieczyć. A więc wysokość, długość i szerokość budynku, ściany i dach z jakiego materyału? kominy murowane czy grodzone? czy z fundamentu budowane, czy zawieszone na belkach? Jakie jest przeznaczenie budynku: co się w nim chowa? co się w nim robi? Jakie inne budynki swoje czy cudze stoją w odległości 20 metrów (10 sążni) do około tego budynku? Jeżeli zboże: ile kóp go jest, ile kopa wydaje ziarna? jak zbudowana stodoła lub szopa, w której to zboże złożone? Jeżeli bydło: ile sztuk, jakiej maści, jakiego wieku? ile warta każda sztuka z osobna? jak zbudowany chlew lub obora?

Tak samo, chcąc zboże na polu od gradobicia ubezpieczyć, należy na wszystkie pytania przez agenta zadane zgodnie z prawdą odpowiedzieć: Jak się łanek każdy nazywa? ile jakiego ziarna na nim wysiano? jak wygląda na polu to zboże dzisiaj? jeżeli ozimina, to jak przetrwała mrozy i odwilże zimowe? jeżeli jarzyna, to czy powschodziła gęsto, czy nie uszkodzona już przez grad wczesny, albo przez słoty, ulewy, burze, albo przez posuchę długą, albo przez robactwo jakie? jakiego plonu spodziewa się właściciel z każdego łanka w ziarnie i w słomie?

Po takiem opowiedzeniu agent spisze wszystko i obrachuje dokładnie, wiele za to ubezpieczenie zapłacić należy.

Prawdać to, że 2 albo 3 reńskie, to także pieniądze — ale przecie nie takie okrutne, żeby ich zarobić nie można. A jak je człowiek raz agentowi zapłaci, to już cały rok śpi spokojnie: czy tam pioruny na dworze biją, czy nie biją i choćby się i powadził z kim i zazdrość czy nienawiść ludzką na siebie za co ściągnął... nie boi się już ani piorunów, ani chmury gradowej, ani przypadku, ani ludzi złych. *(Dok. nast.)*

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

U Arcybiskupa gnieźnieńskiego ks. prał. Floryana Stablewskiego, który mieszka jeszcze jako proboszcz we Wrześni, była niedawno deputacya złożona ze znaczniejszych obywateli i wręczyła swemu nowemu Arcypasterzowi kosztowne upominki czyli dary w imieniu dyecezyan; ofiarowano Księdzu Arcybiskupowi biskupi krzyż złoty wysadzany brylantami wraz z łańcuchem i pierścień biskupi. Kilku obywateli miało do ks. Arcybiskupa przemowy, które go bardzo wzruszyły. W odpowiedzi na te mowy rzekł ks. Arcybiskup, że nigdy nie szukał zaszczytów i nie marzył nawet o nich, ale spełniał swój obowiązek. Cieszy go to, mówił dalej, iż go zawsze obdarzali zaufaniem jego współobywatele i skoro teraz obiecują mu serca swoje, to on im też swoje serce w zupełności oddaje. Gdy się skończyło urzędowe przyjęcie, zaprosił ks. Arcybiskup całą deputacyę na obiad. — Donoszą z Poznania, że z powodu nominacyi ks. prałata Stablewskiego Arcybiskupem, ma być wysłane z Wielkopolski podziękowanie Ojcu św. — Konsekracya ks. Arcybiskupa odbędzie się 17 stycznia, a dokona jej ks. Biskup Kopp z Wrocławia w asystencyi XX. Biskupów Likowskiego i Andrzejewicza, którzy są sufraganami czyli pomocnikami księdza Arcybiskupa.

Austrya. Najwyższym czyli jeneralnym dyrektorem wszystkich kolei państwowych w Austryi został mianowany poseł p. Biliński. Jestto wielki zaszczyt dla nas Polaków, że taką ważną i wysoką posadę powierzono naszemu rodakowi. P. Biliński jest posłem na Sejm i do Rady państwa, a przytem profesorem przy uniwersytecie lwowskim, gdzie wykłada naukę o ekonomii czyli gospodarstwie społecznem. Jako poseł gorliwie bronił zawsze dobra kraju w Radzie Państwa i w Sejmie też dużo pracował i należy do tych ludzi, którzy miłują swą Ojczyznę i dbają o dobro, a miłość tę objawiają nie w hałaśliwych swych gadaninach i rzucaniu się na rząd, lecz w popieraniu rządu, gdy chodzi o słuszną sprawę. Takiem bowiem postępowaniem zyskuje się dla kraju korzyści.

Węgry. Cesarz przybył do Pesztu i zamknął sejm węgierski 5 b. m. Z tego przedwczesnego rozwiązania sejmu nie kontenta jest bardzo lewica, składająca się, jak każda zwykle lewica z przeciwników rządu.

Rzym. Ojciec św. przyjmował w wigilią Bożego Narodzenia Kardynałów, którzy mu składali życzenia i dziękowali za opiekę, jaką Ojciec św. otacza robotników. Na przemowę jednego z Kardynałów odpowiedział Papież, że bardzo się interesuje losem robotników i pragnie im przyjść z pomocą. Następnie wspomniał, że rząd włoski nie powinien się bać pielgrzymów przychodzących do Rzymu i zabraniać im wstępu, lecz raczej strzedz się tych ludzi, którzy sobie i Kościół i wszelką władzę lekceważą. Wreszcie udzielił Ojciec św. błogosławieństwa Kardynałom. W kilka dni później, tuż przed Nowym Rokiem składali znowu Ojcu św. noworoczne życzenia posłowie różnych państw. Najdłużej rozmawiał Ojciec św. przy tej sposobności z posłem francuskim, bo chce swą łagodnością i uprzejmością zmusić zapewne rząd francuski, aby tak gwałtownie nie występował przeciw Kościołowi, jak to czynił w ostatnich czasach.

Rosya. Głód w Rosyi nie ustaje i niema nadziei, aby wnet ustał, zwłaszcza, że urzędnicy moskiewscy, którym powierzono rozdawanie zapomóg, dbają więcej o swoją kieszeń niż o biedaków. Wskutek tego tylko drobna część datków dochodzi głodnych, a większa część ofiar ginie po drodze w różnych rękach. Zdarzyło się np. niedawno, że do pewnego miasta wysłano 100 wagonów żyta, a gdy te wagony przyszły na miejsce okazało się, że zawierały różne rzeczy, oprócz zboża. Złem także wielkiem jest i to, że ludność dotknięta głodem pracować nie chce i ogląda się tylko za jałmużną, którą przepija, jak już przepiła zboże, które jej rząd dał na zasiew jesienny. W kilku guberniach w głębi Rosyi rozeszła się pogłoska, że car kazał w Syberyi rozdawać ziemię włościanom. Posłyszawszy to, porzucili włościanie roboty w polu, sprzedali za bezcen inwentarz i zaczęli tłumami wychodzić do ziemi obiecanej. Dopiero musiano przywołać wojsko i tym sposobem przeszkodzono wychodźctwu.

Czesi, którzy mieszkają na Wołyniu przechodzą dość licznie na wiarę szyzmatycką; zapewne dlatego, aby się przypodobać Moskalom i zyskać sobie u nich łaski. Ale Moskale dobrze się im za to odpłacą. Że Czesi mają skłonność do szyzmy, to ztąd pochodzi, iż dawniej, przed kilkuset laty obałamucił ich sławny heretyk Huss, który był wrogiem Kościoła katol. Jeszsze do dziś dnia wielu Czechów sprzyja w duchu jego nauce, podobnej dużo do nauki szyzmatyckiej.

Niemcy. Cesarz niemiecki Wilhelm II. choć sam wyznaje wyznaje luterską wiarę, ale nie jest takim nieprzyjacielem katolików jak jego poprzednik. Donoszą gazety, że gminie św. Sebastyana w Berlinie ofiarował jako zapomogę na wybudowanie katolickiego kościoła 60 tysięcy marek tj. przeszło 30 tysięcy złr. — *O nowem prawie szkolnem* jużeśmy pisali, dodamy tylko, że według doniesień z Niemiec, ma ono być dla katolików korzystnem. Nauka religii i dozór nad nią ma być przyznany księżom, a gminy mają otrzymać napowrót większą wolność przy mianowaniu nauczycieli. W środku stycznia zbierze się sejm, więc wnet dowiemy się prawdy. — Piszą, że w Niemczech wyjdzie inne także nowe prawo, które ograniczy swobodę przesiedlania się. Wedle tego prawa będzie się wolno komuś osiedlać w nowej miejscowości tylko wtedy, jeżeli osiedlający się udowodni, iż będzie miał dla siebie i swej rodziny dostateczne utrzymanie i zdrowe pomieszkanie. Jeżeli tego nie potrafi uczynić, należy go odstawić do miejscowości zkąd przybył. Wten sposób zapobiegnie się wyludnianiu się wsi i napływowi do wielkich miast. Niektóre atoli gazety piszą, że rząd o takiem prawie obecnie jeszcze nie myśli, tylko stara się naprzód wywiedzieć ile robotników wychodzi na robotę do Saksonii, a ile ich przybywa do Prus z zagranicy. Dopiero potem może zechce wydać powyższe prawo. — *Do pruskiego ministra oświaty* hr. Zedlitza wnieśli Litwini z pod panowania pruskiego prośbę, aby w szkole uczono religii w języku litewskim, oraz żeby w seminaryach nauczycielskich uczono języka litewskiego, gdyż nauka religii udzielana w obcym języku nie pozostaje dzieciom w pamięci nie wnika do serca, przez co młodzież dziecęje, staje się bezreligijną i przystaje do socyalistów. Czy minister wysłucha Litwinów, Bóg to raczy wiedzieć.

Francya. Przed świętami zmarł we Francyi Biskup Freppel, jeden z najszlachetniejszych mężów katolickich francuskich. Był to Biskup gorliwy, człowiek zacny i nieustraszony obrońca Wiary św. i spraw Kościoła w sejmie francuskim. Słynął też z nauki i napisał kilka pięknych książek. Katolicy francuscy bardzo są zmartwieni tą stratą.

NOWINY.

— **Zmarł** w Zielonkach pod Krakowem włościanin Jan Orzechowski, który przez długie lata był wójtem wspomnianej gminy. Zmarły był członkiem Rady powiatowej krakowskiej od samego początku jej zawiązania. Poważano go powszechnie jako człowieka prawego i wiernego syna Kościoła i Ojczyzny. JE. ksiądz kardynał Dunajewski przywiózł mu w roku zeszłym z Rzymu błogosławieństwo od Ojca św. wraz z jego fotografią. Pohrzeb tego zacnego kmiotka odbył się 2 stycznia b. r. Niechaj mu świeci światłość wiekuista!

— **Odznaczenie.** Wójt gminy Stopczatowa, Onufry Zajaczuk, otrzymał od Najj. Pana srebrny krzyż zasługi w nagrodę za jego długoletnią i pożyteczną działalność.

— **Straszny wypadek.** W Krośnie zdarzyło się 21-go zeszłego miesiąca okropne nieszczęście. Pies wściekły pokąsał 8 osób dorosłych i dzieci, oraz poszarpał odzież na innych ludziach, którzy jednak od ukąszenia szczęśliwie się obronili. Ze strony Starostwa i magistratu krośnieńskiego zarządzono energiczne środki, by zapobiedz dalszym nieszczęściom. Kilku pokąsanych ludzi odesłano już do Krakowa.

— **Nowe czytelnie ludowe.** W ostatnich czasach założono kilka czytelni w kraju. I tak: w Bielczy, założono czytelnię za staraniem krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej. Przy otwarciu miał mowę ksiądz kanonik J. Oświecimski, proboszcz z Borzęcina, i zachęcał obecnych włościan do korzystania z czytelni. Przy tej sposobności nadesłano ze dworu w Radłowie, z polecenia jego właściciela p. Maurycego Straszewskiego 22 sztuk całkowitych ubrań dla ubogich uczniów tamtejszej szkoły. Za ten hojny dar, złożył Zarząd szkoły stokrotną podziękę ofiarodawcy. — Dnia 20 grudnia (1891) założono czytelnię w Długiem, w pow. sanockim, również za staraniem krakowskiego Towarzystwa Oświaty ludowej. Przemawiali przy otwarciu ks. Wikary z Zarszyna i kierownik szkoły, który wykazywał, „komu nauka jest potrzebną.“

— **Za oszustwo** zamknął, jak piszą z Boryni, tamtejszy sąd powiatowy do kozy dwóch żydów, którzy

podstępnie wyludzili od gospodarza Piotra Hejwarowicza grunt i cały dobytek a jego samego namówili do wychodźtwa za morze. Oszukany wieśniak byłby się puścił za morze, ale go jacyś dobrzy ludzie zawczasu objaśnili o oszustwie żydowskiem i wtedy cała sprawa wyszła na jaw. Można się spodziewać, że sąd ukarze oszustów, jak na to zasługują.

— **Opłata zą telegramy.** Z dniem 1 stycznia 1892 r. weszła w życie nowa taryfa opłat telegraficznych, a mianowicie po 3 ct. za słowo (w obrębie Austro-Węgier i Niemiec), przyczem jednak nie opłaca się już taksy zasadniczej 24 ct. od telegramu, i jest ten warunek, że telegram najmniej 10 słów zawierać musi. Od telegramów lokalnych, t. j. między dwoma stacyami jednego miasta, opłacać się będzie 1 ct. od słowa, z warunkiem, że telegram najmniej 20 słów zawierać musi, t. j. że najmniejszą opłatą winna być kwota 20 ct.

— **Wielka śmiertelność** panowała w parafii Ostróg na Szląsku Pruskiem, gdyż aby pochować zmarłych trzeba było wykopać jeden wielki wspólny grób. Tamtejszy ks. proboszcz trafnie powiedział w swych przemowach, że się znajduje jakoby na wojnie.

— **Wielkolud.** Pokazują w Warszawie za opłatą, jako niezwykłe dziwo, Wojciecha Piszuka, syna włościanina z pod Radomia. Jest to wielkolud, z górą cztery łokcie wysoki, a ma teraz lat 24. Co dziwna, że ojciec jego, matka, bracia i całe rodzeństwo są wzrostu małego.

— **Burze** i zawieje śnieżne nietylko u nas panują, lecz i w innych także krajach, nawet cieplych. Przed kilkoma dniami zaskoczyła śnieżna zawieja 200 robotników pracujących na torze kolejowym między miastami Salmoną i Isernią i tak ich zasypała śniegiem w jednej prawie chwili, że wielu z nich się udusiło.

— **W Londynie** panuje taka mgła, że ludzie na rzece Tamizie toną, a na ulicach najeżdżają się. O trzy kroki nie rozpoznasz człowieka.

Rozmaitości.

Objaśnienie ryciny na str. 9. Niedaleko dawnego zamku królewskiego w Krakowie, tuż prawie pod samym Wawelem, znajduje się obszerny plac zwany dziś Groblami. Na tych Groblach odbywają się jarmarki i targi na konie. Panowie i wieśniacy gromadzą się tu, aby sprzedać lub kupować te potrzebne i pożyteczne zwierzęta domowe. Obrazek nasz przedstawia chwilę, kiedy sami krakowscy włościanie odbywają wyścigi na swych rumakach i popisują się nimi. Jak łatwo poznać, pora to zimowa, bo widać na niektórych kożuchy. Uwijają się dzielni Krakusy, a zdala przypatruje się tym wyścigom staruszek wawelski, który co prawda lepsze i świetniejsze widział wyścigi w dawnych czasach, zwłaszcza podczas koronacyi lub zaślubin królów, kiedy to na podwórzu zamkowem uwijali się rycerze w złoto okuci; ale dziś może i to go cieszy, że siermięga wieśniacza koło niego się uwija, bo to znak, że żyją jeszcze polskie dzieci i nie zgasła w nich dawna rzeźkość, objawiana choćby w takich wyścigach, jakie widzimy na rycinie.

Na „mądrali!“ Pewien ksiądz jechał koleją z kilkoma towarzyszami, którzy zarażeni nowomodną mądrością, na złość księdzu rozmawiali o sprawach religijnych i kpili i dowcipkowali sobie, ile im gęby starczyło. Ksiądz siedział spokojnie, nie mieszając się do rozmowy. To gniewało niedowiarków i chcąc go wyciągnąć na jakie słowo, zapytał się jeden z nich tak:

— Nie mógłby nam ksiądz powiedzieć, dlaczego Aniołowie, gdy się we śnie Jakóbowi ukazali, wchodzili po drabinie; przecie księża mówią, że Aniołowie mają skrzydła, a wtedy nie potrzebują drabiny?

Ksiądz tak na to odrzekł:

— Ja sobie tę sprawę tak tłómaczę: Aniołowie odstawili prawdopodobnie tuż przed ukazaniem się Jakóbowi gromadę niedowiarków do piekła; więc sobie pewnie skrzydła opalili.

Na tę odpowiedź zamilkli drwiący towarzysze, jakby im kto w twarz dał i już ani słowa o religijnych sprawach nie mówili.

Papierosy (cygarety) należą do największych trucizn na świecie. W mieście Chicago w domu obłąkanych jest na stu chorych zawsze ośmiu takich, co popadli w szaleństwo z powodu tego, że palili papierosy. W Nowym Jorku procent ten jest jeszcze większy. Co najgorsza to to, że podczas gdy inni obłąkani mogą jeszcze wrócić do rozumu, to szaleńcy z powodu palenia papierosów nigdy do rozumu nie wracają.

Niechże ojcowie i matki i panowie majstrowie i nauczyciele wytną sobie ten kawałek gazety i od czasu do czasu czytają go swoim wychowańcom.

Fraszki i żarty.

Nauczyciel do ojca: „Bardzo żałuję, że pański synek małe robi postępy; słabą ma biedaczek głowę!“ — Ojciec: „O znam ja się na takich wybiegach; jakem był chłopcem, to ojciec mój to samo słyszał od mego nauczyciela“.

Matka do syna: Wisusie, jak ty wyglądasz?

— Wpadłem w kałużę, odpowiada synalek.

— Jakto w nowej bluzie?

— Nie miałem czasu jej zdjąć, proszę mamy.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 5 stycznia.

Płacono za pszenicę białą od 12·20 do 12·50 złr., za czerwoną od 12·— do 12·30 złr., za żółtą od 11·80 do 12·25 złr.; za żyto od 10·75 do 11·10 złr.; za jęczmień browarny od 8·— do 8·80 złr.; na paszę od 7·50 do 8·— złr.; za owies od 7·20 do 7·40 złr.; Rzepak od —.— do —.—. Wszystko za 100 kilogramów.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Marceli Dziurzyński.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.